

Trup jego leżał teraz nagi i obojętny na wszystko, wkopany w kąt, podczas gdy jego pana dopiero czekała ostatnia męka.

Bojarzy wygonili swoich służących z komnaty i stanęli nad leżącym władcą niczym sąd kapturowy. Półkole nad bezbronny Dymitrem tworzyli Michaił Tatiszczew, Dymitr Szujski, trzech Golicynów: Andriej, Iwan i Wasilij, a także Iwan Wojejko i Piotr Ostrowikin. Nie chcieli jeszcze kończyć sprawy, dając sobie chwilę upojenia, kończącą całe lata starań, spisków i marzeń o władzy. Wcześniej pozbyli się Borysa Godunowa, po którym przyszedł jego syn Fiodor, ale i tego pozabawili życia, by osadzić Dymitra na tronie. Chcieli rządzić spoza jego pleców, ale on wybił się na niezależność, otoczył własnymi zausznikami i, co gorsza, zdobył serce ludu. Spisek przeciwko niemu omal nie skończył się skróceniem Wasyla o głowę, lecz wreszcie zatriumfowali i mogli sycić się zwycięstwem. Wiedzieli, że już nic nie odbierze władzy Wasylowi Szujskiemu, a przy tym i im samym.

Dymitr leżał z uniesioną nad posadzką głową i patrzył na oprawców zamglonymi oczyma, błagając wzrokiem o życie. Odpowiadały mu nieczułe i żądne krwi spojrzenia.

– Wojejko, ty pierwszy – zakomenderował Dymitr Szujski.

Bojar zgodnie z poleceniem rzucił się w kierunku hospodara i ciął go berdyszem przez znękaną bólem twarz. Oczy skazańca zamknęły się, ale żył jeszcze, kiedy reszta bojarów rzucała się ku niemu ze sztyletami. Byli jak opętani, z obłędem w oczach wbijając ostrza w drgające ciało. Po kilku chwilach ciosy padały na bezwładnego trupa.

Bojarzy kłęzący wokół dyszeli ciężko, wciągając nozdrzami zapach krwi wypływającej z dwudziestu jeden ran zadanych gospodarowi. Kiedy już nasycili się swym triumfem, Dymitr Szujski zaklaskał na pacholków, którzy od razu weszli do komnaty.

– Rozebrać go, jak tamtego – zakomenderował służącym, wskazując na oba trupy. Chciał odebrać zmarłemu gospodarowi resztki człowieczeństwa i zamienić ciało w pogardzane ścierwo.

Kiedy władca leżał już nagi, osobiście przywiązał sznur do jego przyrodzenia i kazał za nie ciągnąć zwłoki po schodach na dół. Jako drugiego wywleczono na dwór, za nogi, Basmanowa.

Najpierw ukazali się oczom tłuszczy kłębiącej się wokół zamku i szli dalej szeroką ulicą ciągnącą się ku bramie Frołowskiej, wśród strzałów z samopałów, okrzyków wyrażających radość z zabicia piekielnego antychrysta i czapek wyrzucanych dziesiątkami na wiwat. Niektórzy z napastników kopali wlezione po ziemi ciała, inni pluli na nie, jeszcze inni żegnali się na ich widok po trzykroć, jakby chcieli odpędzić od siebie mace piekielne.

Tłum dotarł wreszcie do monasteru Wozniesieńskiego, to jest Wniebowstąpienia Pańskiego, gdzie od lat przebywała Maria Nagoj, ostatnia żona Iwana Groźnego i matka Dymitrowa. Ją to Borys Godunow nakazał zamknąć w klasztorze po śmierci dziecka, uznawanego wówczas za Dymitra Iwanowicza. Ją to potem wyciągnięto spośród mniszek, żeby zobaczyła w młodzieńcu przybyłym z Polski swoje własne dziecko. Teraz zaś znów była potrzebna spiskowcom, żeby potwierdzić, że rzekomy gospodar to samozwaniec, oszust i antychryst, który onegdaj bojarom oczy bielmem zasłonił.

Tatiszczew i Iwan Golicyn poczęli walić do bramy monasteru, żądając widzenia z siostrą Martą, jako nazwano w klasztorze wdowę po gospodarze Iwanie. Zaraz też ukazała się w odrzwiach, wypychana do tłumu przez przerażone czernice.

– Mario Fiodorowna, czy rozpoznajesz w tym człowieku swojego syna?! – zakrzyknął Tatiszczew tak głośno, żeby słyszały

go tłumy otaczające monaster, ale też żeby wyrzucić odpowiednie wrażenie na pytanej kobiecie.

Siostra Marta biała była jak kreda, co przy czarnym stroju sprawiało, że jej wygląd przywodził na myśl upiora. Zaraz też, kiedy oprawcy rzucili przed nią ciało hospodara, musiano ją przytrzymywać przed omdleniem.

– Rozpoznajesz w nim swego syna?! – powtórzył Tatiszczew.

Kobieta choćby i chciała poznać w trupie syna Iwanowego, nie mogłaby tego dokonać, bo ciało tak zostało sponiewierane, że trudno było w nim rozeznaczyć ludzkie kształty. Nie kłamiąc więc, zaprzeczyła, a potem osunęła się bezwładnie w ramiona czernic. Tłum, który dostał odpowiedź, jakiej oczekiwał, nie zwracał już na nią więcej uwagi.

– Na płoszczad teraz, przed Kreml, gdzie pan godny waszej miłości już oczekuje! – zawołał teraz Dymitr Szujski, a tłum przyświadczył okrzykami i wystrzałami oddawanymi w powietrze.

Czerń ludzka wylała się zaraz przez bramę do miasta na plac nazwany potem Czerwonym, gdzie nadciągały już z całego miasta tłumy spędzane przez pachołków bojarских. Ciągnęły one w stronę wyniesienia, Łobnym Miastem zwanego, z którego obyczajem pospólstwu hospodarskie ukazy ogłaszano. Tam to wcześniej chciał podążyć Dymitr, licząc na pomoc ludu przeciw spiskowcom, lecz teraz kto inny miał do niego przemawiać i do racji swoich przekonywać.

Na placu stał i czekał już człowiek niepozorny, choć w stroju bogatym – Wasyl Szujski otoczony gromadą bojarów, przeżywający swój czas i swoją chwałę. Nie było go wcześniej wśród tych, którzy o brzasku napadli na Kreml i dopiero gdy spisek się powiódł i hospodara zamordowano, pokazał się tłumom spędzanym na Krasną Płoszczad. Część z pospólstwa

i mieszczaństwa domyślała się przygotowań do wystąpienia przeciw Dymitrowi, a niektórzy z nich znaleźli się ran-kiem pośród spiskowców. W większości poddani nadal nie wiedzieli, co się dzieje. Słyszac dzwony, myśleli zrazu, że jakiś potężny pożar Moskwę pustoszy, prędko jednak spostrze-gli, że nic nie płonie, i poczęli mniemać, że wróg jakiś miastu zagraża. Widzieli zamieszanie w okolicach Kremla, a teraz dostrzegali bojarów wesołych i lud uzbrojony w kije, widły i cepy, potrząsający nimi w triumfie. Słyszeli strzały, ale były to strzały na wiwat. Nic z tego nie rozumiejąc, gromadzili się więc wokół Łobnego Miasta, z którego zwyczajem odwiecz-ny-m dowiadywali się o woli hospodarskiej. Dziwiło ich tylko, że nie herold czy sam hospodar, ale Wasyl Szujski głos ma za-brać, i dopiero kiedy mówić zaczął, oczy poczęły im się otwie-rać ze zdumienia, a proste dusze nie mogły objąć tego, co się wokół dzieje.

– Ludu moskiewski, oto uchroniliśmy cię przed złem pie-kielnym! – krzyknął z całej siły Wasyl Szujski.

Odpowiedziała mu głucha cisza i dumny bojar nie wie-dział, czy jest ona spowodowana zaskoczeniem, strachem czy niedowierzaniem.

– Oto antychryst na wiarę naszą świętą nastawać począł!

Ludzie poczęli żegnać się znakiem krzyża, ale dalej milczeli.

– Odkryliśmy, że ten, który Czapkę Monomacha przywdział, nie jest potomkiem starożytnych cesarzy rzymskich, ale sługą piekielnym. Nie jest Dymitrem, synem Iwana, ale samozwań-cem, jeratykiem, rozstrygą, bezbożnikiem i duszokrajcą.

W tłumie poczęto szemrać i coraz szybciej ręce poruszały się w znakach krzyża, aby moce piekielne odpędzić.

– Odkryliśmy, że na życie nasze, pobożnych chrześcijan, nastawać chce, bośmy mu na drodze stanąć mogli. Rozkazy

już były wydane, żeby jutro wszystkich bojarów, mniejszych i większych, o głowę skrócić.

W tłumie szemrano coraz głośniej.

– Tak też i my, ludzie Boga miłujący, musieliśmy zabić antychrysta, rozstrzygę i samozwańca, nim on na życie nasze, a duże wasze nastanie.

Ostatnie zdanie Szujskiego sprawiło, że tłum począł kipieć teraz jak lawa w wulkanie czekająca na wybuch. Rozpoczęły się gorączkowe rozmowy wśród ludzi. Część przyjmowała z zabobonnym przestachem i wiarą słowa wypowiedane przez Szujskiego, inni jednak, którzy choć trochę w sprawach publicznych rozumem się posługiwali, poczęli się pytać początkowo bardzo cicho:

– Jakże to? Przecie gospodarowi jeszcze kilka dni temu kapłani błogosławili, czerńcy śpiewali, a bojarzy do stóp przystępowali i hołdy składali.

– A przy tym od wody święconej się nie wywijał i siarki od niego nie było czuć – dopowiadali odważniej ci, którzy nie byli w stanie takich rzeczy pojąć.

– A przy tym matka go poznała...

– Dla ludzi był łagodny i krzywdy nie czynił...

– Samemu Szujskiemu zdradę wybaczył i łaskę okazał...

Szmary takie coraz bardziej roznosiły się po tłumie i jeszcze chwila, a mogły się źle skończyć dla spiskowców, a przy tym dla samego dumnego bojara. Szujski znał jednak dobrze ten lud prosty, chwiejny i zabobonny, przeto był przygotowany, aby uwagę jego obrócić w odpowiednią stronę.

– Nie wierzycie mi?! Tedy patrzcie na dowody, jakie brat mój w sypialni samozwańca znalazł! Oto w napiętku u buta krzyżyk łacinników nosił, aby wiarę swą prawdziwą, papistowską, w ukryciu wyznawać!

A dać raczy, jenoż prosimy:
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt.
Kyrie eleison.

Kiedy wybrzmiały ostatnie słowa pradawnej pieśni rycerstwa polskiego, wyjechał przed szeregi pan hetman polny. Z wątle-
go ciała wydobył się głos potężny, który docierał do każdego
i był jakoby natchnienie przed bojem na śmierć i życie.

– Postawił nas Najwyższy na drodze hord nieprzebranych,
idących na zgubę Rzeczypospolitej. Nadzieja w męstwie, ratu-
nek w zwycięstwie.

Potem machnął buławą w prawym kierunku i wykrzyknął:

– Chorągwie prawego skrzydła, uderzać!

Minęła godzina czwarta.

Ruszył z miejsca pułkownik Zborowski, a za nim pułk ca-
ły żelaznych mężów. Był pośród tych wojenników pan Koła-
kowski, który miał to szczęście, że walcząc w szeregach danił-
łowiczowskich, mógł odpowiedzieć zbrojnie za krew rodaków
w Moskwie przelaną, za cierpienie własne, a może i za życie
swojej ukochanej, porwanej przez ludzi bez serca i litości.

Dusza mu się rozrywała z żalu za kniazianką, wierzył jednak,
że żyje ona gdzieś jeszcze i czeka na niego. Pokładał przy tym
nadzieję w panu Zagłobie, który – skoro panny pojechał szu-
kać – fortelami ją choćby spod ziemi albo i diabłu spod ogona
wyciągnie.

– Gdzież Moskwicinom z Zagłobą na fortele się mierzyć?
Nie masz takiej biedy, z której ten nie wywinąłby się jako pi-
skorz. Gdyby jej nie znalazł, tedy by wrócił, a skoro go nie ma,
znaczy, szuka jeszcze albo odzyskał już dla niego – powtarzał
sobie po wielokroć niczym zakłęcie, które i teraz przed bojem

odprawiał. Później zaś przeżegnał się i powtórzył sobie: – *Patricia primum. Mater est maxime momenti.*

Westchnął ostatni raz z tęsknoty i bólu, a potem dał się ponieść myślom o wrogu zaprzysięgłym Rzeczypospolitej, którego należało zgnieść, by nie rozlał się jako hordy mongolskie i nie zalał ani nie zniszczył tego, co dziesiątki pokoleń budowały. Był teraz jednym z tych paru tysięcy, na których zawisł los ojczyzny. . .

Towarzysze i pocztowi o twarzach spokojnych, zdecydowanych i zaciętych szli przed siebie początkowo stępą. Nabierały jednak pomału impetu hufce Rzeczypospolitej, a ziemia poczynała drzeć pod kopytami setek koni. Miały przed sobą płot gorejący tak po prawej, jak po lewej swej stronie i przejście pośrodku, nie szersze nad trzydzieści łokci. Ciągnęły jednak z przekonaniem i ufnością niczym plemię izraelskie wchodzące w Morze Czerwone, mające mur z wód po bokach. Ścieśniły się teraz w kolumnę bardzo wąską a długą, po czym – wychynawszy na drugą stronę płonącej przeszkody – rozlewały się już szerzej, wchodząc jednocześnie w galop. Kopie, trzymane dotąd w górze, na sygnał dany przez Zborowskiego pochyliły się jednocześnie, tworząc jakby żądła jadowitych os.

Stojące naprzeciw pułki moskiewskie były w tym momencie jak zaczarowane. Patrzyły w kolejne chorągwie Rzeczypospolitej wyłaniające się spośród muru ognia, jakoby z bram piekielnych i nie dowierzały własnym oczom.

Jest li możliwe takowe szaleństwo, żeby wróg tak nieliczny nie tylko próbował oprzeć się potędze niezmierzonej, ale na dodatek sam ją atakował? Moce piekielne ich chyba prowadzą. . . – szalały myśli w głowach żołnierzy i dowódców, bojarów i zwykłych strzelców.

Stali więc w ciągnących się po horyzont kolumnach, zdeorientowani i niewiedzący co powinni czynić. Byli jak olbrzym,

nieruchawy i tępy, który ufny w swoją wielką masę nie dopuszcza nawet myśli, aby ktokolwiek ośmielił wystąpić przeciw niemu.

Tymczasem niebezpieczeństwo zbliżało się ku nim z coraz większą prędkością, z dudnieniem kopyt wyrrywających kępy ziemi i trawy, furkotem wielobarwnych proporczyków na kopyach i skrzydeł husarskich. Towarzyszyło temu niewyobrażalne w tym widowisku milczenie, bo głosu nie zabierali zarówno skupieni na swym zadaniu husarze, jak i trwające w szoku szeregi pierwszego rzutu jazdy bojarskiej.

Wreszcie ów dziwny spokój przerwał grzmot roztrzaskiwanych kopii, łamanych pancerzy, rozrywanych kolczug, przerażony kwik ranionych koni, potworne krzyki ludzi spychanych uderzeniem z siodła i umierających pod kopytami, miażdżonych, tryskających krwią mieszającą się z kurzem unoszącym się nad polem bitwy.

Chorągwie Zborowskiego wbiły się potężnym klinem w szeregi wojsk moskiewskich, niczym grot strzały przeszywa kolejne warstwy ciała człowieka lub zwierzęcia. Jak jednak z łuku można zabić, ale też jedynie zranić, tak i Polacy nie zdołali rozerwać długich na pięćset łokci i trzykroć głębszych wrogich linii.

Husaria przeszła jak huragan przez część ustawionego naprzeciw niej pierwszego szeregu bojarów, zniszczyła też drugi, a zaraz potem trzeci. Impet począł jednak wygasać, a opór moskiewski tężeć. Nie było już kopii, w ruch poszły więc szable i koncerze. W upiornych odbłaskach płonącej wsi Przeczyste rozgrywały się setki pojedynków. Ogień oświetlał wykrzywione w grymasach wysiłku twarze rycerzy polskich i bojarów moskiewskich, szczęk żelaza zagłuszał wszystkie inne odgłosy, szable krzyżowały się z szablami, a długie koncerze przebijały

filcowe kaftany. Trup słał się po stronie żołnierzy Zborowskiego, dziesięćkroć więcej padało ich jednak po stronie przeciwnej. Stawał z pasją sam pułkownik, bił się dzielnie rotmistrz Daniłowicz, dawał przykład oddania ojczyźnie pan Kołakowski, siekli zapamiętałe porucznicy Kossowski, Rudziński, Młocki i Marchocki. Gasły życia kolejnych szeregów bojarских, dziesiątki ciał grzęzły pod kopytami, ziemia nasiąkała strumieniami krwi.

Towarzysze husarscy byli lepszymi fechtmistrzami, cóż jeśli ich wrogowie zdawali się być hydrą, u której na miejsce jednej głowy wyrastały trzy albo cztery nowe. Chorągwie polskie przebiły się już niemal przez cały pierwszy rzut wojsk Dymitrowych, cóż skoro tylko przez jego środek. I im bardziej się weń wgryzały, tym bardziej skrzydła moskiewskie zaciskały się po bokach, aby zamknąć zborowszczyków w śmiertelnej pułapce.

Dostrzegął to dumny magnat, ale też żołnierz doświadczony, przeto kiedy uznał, że nie zdoła się przebić dalej w stronę wrogiego obozu, postanowił się wycofać. Dojrawszy walczącego najbliżej Kołakowskiego, krzyknął do niego:

– Sygnał na odwrót!

– Rozkaz – odpowiedział pan Andrzej i zaraz potem zabrzmiała jedna trąbka, a po niej kolejne w innych chorągwiach.

Świetnie szkolony był polski żołnierz, bo w miejscu każdy z husarzy zdołał zawrócić i rzucić się galopem w stronę własnych linii. Aby przebić się przez skrzydła, siekli szablami na boki. Chwilę trwało, zanim Moskwicini pojęli w czym rzecz, a kiedy dotarło do nich, że Lachy uciekają, ryknęli radośnie:

– *Tikajut!!!*

– *Za nimi!!!*

– *Smert Lachom!!! Na pohybel!!!*